GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1939 R.

Nr. 1 ROK IX

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 1
1939 R.
1 — I

DWADZIEŚCIA LAT I JEDEN ROK

Zwyczajem naszego pisma stało się podawanie w noworocznym numerze krótkiej analizy przemian, zachodzących na dwu niewątpliwie ze sobą związanych, lecz zupełnie odmienny ciężar gatunkowy posiadających płaszczyznach. Jedna z tych płaszczyzn to nasze czasopismo, druga — to całokształt myśli i polityki gospodarczej w Polsce.

W roku bieżącym dzieli nas tak krótki okres od rocznicy 20-lecia niepodległości, że w sposób wręcz nieodparty narzuca się próba nawiązania wspomnianej analizy do szerszego tła, do dłuższego okresu ewolucji. Zjawiskiem, które w naszym przekonaniu wybija się na plan pierwszy właśnie wtedy, kiedy przedmiotem obserwacji staje się większy okres czasu, zjawiskiem tak dalece pozytywnym, że bodajże w nim dopatrywać się możemy najpoważniejszego dorobku 20-lecia myśli gospodarczej w Polsce niepodległej, jest zmierzch taniego aprioryzmu i narastający głód rzeczowości i gruntowności.

Czy tak jest w istocie? — Czyż nadal nie natrafiamy w wystąpieniach jednostek, czasopism czy grup, od których z tytułu ich roli w życiu społeczno - gospodarczym ma się prawo wymagać wiele, na przejawy lekkomyślnego sądu, na przejawy nieznajomości stanu faktycznego? — Czyż nietylko poszczególnych oderwanych wystąpień, ale wręcz całych programów — lub raczej pseudoprogramów — nie należało by zaliczyć do kategorii powierzchownych, nieprzemyślanych, nierzeczowych? — Niewątpliwie tak, lecz naszym zdaniem nie przeczy to postawionej poprzednio tezie. Bezwątpienia, kultura gospodarcza społeczeństwa polskiego, jego wyrobienie w myśleniu polityczno - gospodarczym, nasza znajomość podstawowych elementów rzeczywistości polskiej są niedostateczne, skutkiem czego rodzić się muszą te ujemne zjawiska, o których wspmnieliśmy przed chwilą. Równocześnie jednak mamy prawo stwierdzić, iż następują zmiany na lepsze.

Zmiany te widzimy w bardziej krytycznym ustosunkowaniu się do wzorów zagranicznych. Jeśli nawet niejedna koncepcja i niejeden program lansowany w Polsce jest poprostu echem zagranicy, to dzieje się to przy pełnej świadomości, że różnice strukturalne pomiędzy Polską a otaczającymi ją krajami są głębokie, dzieje się więc na skutek pewnej nieporadności myślowej w samodzielnym rozwiązywaniu problemu, a nie na skutek wiary w możność mechanicznego przeszczepiania wzorów. Zmiany te widzimy w znacznie trzeźwiejszej i skromniejszej ocenie naszej własnej polityki i naszych osiągnięć. Odbiegliśmy daleko od tego okresu, kiedy w poważnym odłamie myśli gospodarczej panowało głębokie przekonanie, że cały świat popełnia elementarne, kardynalne błędy w swojej polityce koniunkturalnej, a tylko jedna Polska prowadzi racjonalną politykę, wyrażającą się m. in. w wyjątkowo niskim poziomie wskaźników koniunkturalnych.

Nie to jest oczywiście najważniejsze. Istota sprawy polega na tem, iż coraz rzadziej napotykamy na recepty polityczno - gospodarcze o charakterze czystej, abstrakcyjnej dedukcji z założeń doktryny którą się wyznaje, dedukcji niekonfrontowanej z faktami, coraz częściej natomiast mamy możność rejestrować podejmowanie gruntownych i nie ad usum

doraźnych celów przeprowadzanych badań podstawowych elementów rzeczywistości polskiej. Można by wprawdzie twierdzić, że poważne zmniejszenie się liczby liberalnych doktrynerów zostało skompensowane w znacznej mierze zwiększeniem liczebności doktrynerskich zwolenników gospodarki planowej, sądzimy jednak, że ważniejszą rzeczą od zmian ilościowych są tu zmiany jakościowe. Sądzimy, że w obu obozach — jeśli się tak wyrazić można — napięcie doktrynerstwa osłabło, że na ogół nie oczekuje się automatycznego łatwego rozwiązania wszystkich trudności i problemów przez proste wybranie doktrynalnej formuły. Wiele — i słusznie wiele — nadziei wiąże się natomiast ze wspomnianym procesem pogłębiania znajomości rzeczywistości polskiej. Dorobek lat ostatnich na tym odcinku obejmuje już szereg gruntownych prac zarówno z kategorii wiernych fotografii rzeczywistości społeczno - gospodarczej (np. Pamiętniki Bezrobotnych, Pamiętniki Chłopów, Pamiętniki Emigrantów), jak i z kategorii rozumowanej analizy podstawowych elementów naszej struktury społeczno - gospodarczej. Nie chcąc wymieniać nazwisk poszczególnych autorów, wspomnimy tylko, że czołowa rola w rozwijaniu tego kierunku pracy naukowo - badawczego przypada Instytutowi Gospodarstwa Społecznego, Instytutowi Spraw Społecznych, Instytutowi Naukowemu Gospodarstwa Wiejskiego i kilku innym placówkom pokrewnego charakteru. Co ważniejsze, możemy ufać, że tempo tego rodzaju prac ulegnie wzmożeniu, gdyż istnieje na nie popyt, gdyż rodzą się one z szeroko narastającego głodu rzeczowości, a mamy także prawo wierzyć, że dorobek, o którym mowa, staje się własnością szerokiej opinii, nawet tej, która się bezpośrednio z danemi pracami nie zapoznaje. Moglibyśmy bowiem wymienić cały szereg przykładów, wskazujących, że gruntowne i objektywne zanalizowanie podstawowych, lecz zapoznawanych poprzednio na ogół problemów (np. przeludnienie wsi) doprowadziło do tego, iż nikt już dziś w myśleniu gospodarczym nie potrafi o nich zapomnieć.

Przechodząc z tej szerokiej płaszczyzny na płaszczyznę wąską — na własne podwórko naszego pisma — mamy jak sądzimy prawo twierdzić, że o ile nasz współudział w wytworzeniu tendencyj, o których mowa, był z natury rzeczy skromny, gdyż działały tu siły i procesy o wiele potężniejsze, o tyle na naszym własnym terenie tendencja oparcia się o grunt rzeczywistości polskiej i niesugerowania się doktryną (przy całym, stale podkreślanym szacunku dla teorii) jest wyraźna od pierwszego po ostatni numeru naszego czasopisma. Stąd też w obliczu omówionych poprzednio przemian mamy poczucie współuczestnictwa w zwycięstwie nad powierzchownością i doktrynerstwem, w zwycięstwie z pewnością niecałkowitym, ale cennym nawet wtedy, gdy jest tylko połowiczne.

Zwężając przedmiot naszych rozważań, skupiając uwagę na roku ostatnim, inaczej musimy sformułować ocenę. Oczywiście korzystne warunki koniunkturalne, odcinkowe tylko i niegłębokie zakłócenie równowagi gospodarczej, opanowanie tak trudnych i groźnych zjawisk jak odpływ wkładów ku końcowi roku, niewątpliwy sukces całokształtu naszej polityki gospodarczej w postaci dość skutecznego odizolowania kraju od perturbacyj, jakie nastąpiły w gospodarce światowej, kontynuacja w szerszej skali szeregu poczynań inwestycyjnych o istotnym dla struktury gospodarczej kraju znaczeniu itp. itp. dają pokaźną liczbę aktywów roku ubiegłego. Jeśli jednak analizujemy nie rozwój życia, a rozwój myśli i polityki gospodarczej, to pomimo iż proces pogłębiania, o którym mówiliśmy w odniesieniu do 20-lecia nie został tu bynajmniej zakłócony, możemy jednak określić rok ubiegły, jako rok swego rodzaju zawieszenia broni.

Co rozumiemy przez to zawieszenie broni? — Z pewnym uproszczeniem można byłoby powiedzieć, iż myślenie gospodarcze w ostatnim okresie czasu rozszczepiło się w Polsce na dwa luźno ze sobą związane poziomy. Jeden poziom — to zagadnienie polityki na bliską, drugi — na długą metę. Nie będzie bardzo odbiegać od prawdy, jeśli stwierdzimy, że w płaszczyźnie bliskiego dystansu czasu tylko nieliczne odłamy, kierowane czy to względami politycznemi czysto czy też ortodoksją doktrynalną, wytaczają poważniejszego kalibru zarzuty w stosunku do polityki gospodarczej Rządu. Jako polityka chwili, jako polityka dnia dzisiejszego, polityka obecna jest niewątpliwie popularna. Wynika to zarówno z objektywnych walorów obranego kierunku, sprawdzalnych po przez osiągnięte efekty, jak i stąd, że widocznie linia kompromisu pomiędzy rozbieżnemi tendencjami i interesami obrana została zgodnie z istniejącą równowagą sił.

Zupełnie inaczej przebiega dyskusja na poziomie długofalowym, na poziomie programu na dalszą metę. W przeciwieństwie do konsolidacji w stosunku do szeregu zagadnień bieżących, jeśli chodzi o program długofalowy, różnice narastają, tendencja do zmian wzmaga się. Wzmaga się, lecz nie doprowadza nas dziś przynajmniej jeszcze do wysunięcia programu dostatecznie niespornego, dostatecznie konkretnego, by naruszyć treuga Dei, by wpłynąć na politykę bieżącą. I nic dziwnego, bo właściwie można mówić co najwyżej o uprzytomnieniu sobie, o postawieniu problemów z zakresu zasadniczej przebudowy naszej polityki gospodarczej niż o dojrzałych próbach ich rozwiązania. To oczekuje nas dopiero. Nas w szerokim znaczeniu i nas w znaczeniu węższym, t. zn. oczekuje również nasze czasopismo.

WITOLD PACZKOWSKI

SFERY GOSPODARCZE

Dla ustalenia odpowiedzialności za przeszłość i dla nauki na przyszłość należy wyraźnie i bez obsłonek określić, jaka rola przypadła tzw. sferom gospodarczym w kształtowaniu polityki gospodarczej i czem się te sfery w niej kierowały i kierują.

W dwóch kolejnych numerach „Gospodarki Narodowej", spróbowaliśmy zająć wobec obchodzonej przez kraj rocznicy dwudziestolecia niepodległości postawę, która dość daleko odbiegała od postawy zajętej przez ogromną większość prasy i publicystyki polskiej. Chcemy być organem, uparcie walczącym o przekształcenie całej ekonomii w posłuszną dźwignię nie tylko wzrastającego dobrobytu zbiorowego, ale i w dźwignię wzrastającej kultury i potęgi narodowej i państwowej. I dlatego uznaliśmy, że najwłaściwszym wyrazem uczczenia tej rocznicy nie będzie z naszej strony jeszcze jeden wysiłek natury *opisowej*, natury rejestracyjnej, formalno - statystycznej lub propagandowej. Ta część zadania znalazła i u nas, tak samo jak wszędzie, dosyć gorliwych i utalentowanych wykonawców. Naszą natomiast ambicją było w takiej chwili *zaatakowanie najbardziej podstawowych problemów* naszego gospodarstwa społecznego, zbilansowanie wyników, stosowanych dotąd metod społeczno - gospodarczych i choćby najbardziej sumaryczne wytknięcie dróg dalszego postępowania.

Ponieważ jednak żadna rzetelna analiza nie może pomijać również stron ujemnych i procesów chorobowych, a w naszych konkretnych warunkach każda próba zestawienia dotychczasowych osiągnięć i zaniedbań musi zarazem stawać się surowym osądem wielu dotychczasowych dysponentów naszego życia gospodarczego i naszej polityki gospodarczej, więc byliśmy przygotowani na to, że nasze wystąpienie może dać powód do wielu zarzutów i do najostrzejszej nawet krytyki. Jak dotąd, z reakcją taką nie spotkaliśmy się jeszcze. Dalecy jesteśmy oczywiście od uproszczonego przeświadczenia, że ten dotychczasowy brak krytycznej reakcji — pomimo świadomie nieraz zaostrzanych polemicznie ocen — oznacza zgodność przeważającej opinii publicznej z naszemi przesłankami i wnioskami. Ale wynika stąd chyba niewątpliwie, że przeważająca opinia publiczna nie uznała naszego wystąpienia przeciwko supremacji wielkiego kapitału za przejaw jakiegoś „defetyzmu" gospodarczego, lub za rażący „zgrzyt" w ogólnej harmonii podniosłych nastrojów jubileuszowych. Uważamy to już za pewien postęp w dojrzewaniu zbiorowej świadomości społeczeństwa, nie tak dawne są jeszcze bowiem czasy, gdy każda próba budzenia czujności wobec mniejszych nawet uchybień naszych „kół gospodarczych" zagłuszana była krzykami o „kalaniu swego rodzinnego gniazda" itp. Dziś nie jest to już więcej możliwe. Autorytet wielkiego kapitału, jako jedynego praktycznie możliwego organizatora procesów gospodarczych, został już bezpowrotnie pogrzebany. Jeżeli zaś większość opinii nie dojrzała może jeszcze do *czynnego* wyboru pomiędzy różnemi orientacjami społeczno - gospodarczemi, to w każdym razie nie uważa już postawy antykapitalistycznej za postawę heretycką, farmazońską, niedopuszczalną w żadnym „przyzwoitym" towarzystwie.

Oczywiście, że nawet i taka względna *bierność* opinii publicznej w sprawach społeczno - gospodarczych jest ciężkim głazem na drodze do dalszego „dźwigania Polski wzwyż". Wolelibyśmy na pewno nawet atmosferę zarzutów i napaści, choćby stronniczych, lub niezupełnie przemyślanych, lecz wciągających szeroki ogół w samo sedno wysuwanych przez nas zagadnień i postulatów, niż dzisiejszą atmosferę tolerancyjnej bierności, która czasem przekształca spory i dyskusje społeczno - gospodarcze w spory między augurami, jednakowo dalekimi od woli, pragnień i dążeń tego ogółu. Ułatwia to zwłaszcza pozycję monopolistycznych kół wielkokapitalistycznych, które — licząc na tę bierność — usiłują często przemilczać lub bagatelizować stawiane im zarzuty i oskarżenia, podnosząc natomiast tem większą wrzawę w okół spraw znacznie mniej istotnych, lub wygodniejszych dla siebie. Ale nie trzeba zapominać, że nawet ta względna bierność opinii jest już następstwem głębokich wstrząsów psychicznych, i że bez porównania łatwiej jest usunąć z drogi głaz bierności, niż głuchą i ślepą zaporę niechęci lub ciasnego i nawet błędnie pojętego interesu klasowego.

Właśnie też i nasze rozważania rocznicowe, stanowiące jeden wielki akt oskarżenia przeciwko nieudolności lub sabotażowi uprzywilejowanych grup wielkokapitalistycznych i wielkoziemiańskich, spotkał ten los, że koła zainteresowane usiłują pozbawić je charakteru sporu ważnego dla całego gospodarstwa narodowego, a dążą ku temu, by dyskusję nad nimi zamknąć w szczupłym gronie „augurów", gdzie stanowiska i punkty widzenia są zdawna ustalone i gdzie wobec tego nie trzeba już wysilać się na argumenty, a wystarczy wykpić się paru dowcipami, lub złośliwostkami. Istotnie: jedyną znaną nam repliką jest króciutka notatka polemiczna w urzędowym organie polskiego świata finansów, handlu i przemysłu, w „Przeglądzie Gospodarczym" z dnia 15 grudnia. Nie mogąc zdobyć się na obalenie naszych tez, nie będąc w stanie zaprzeczyć, że Lewiatan w Polsce okazał się dwa, pięć, dziesięć i dwadzieścia razy mniej zaradny i gospodarny, niż choćby Lewiatany w innych krajach konkurencyjnych, autor stara się przyłapać nas przynajmniej na pozornych sprzecznościach, aby potem pobłażliwie wytknąć nam *naszą* niekompetencję i w ten sposób uchylić się od *wszelkiej* w ogóle dyskusji. Na czem zaś miały polegać te sprzeczności w naszym stanowisku?

Oto 1) na tem, że biednemu Lewiatanowi mamy za złe jego „kontaktowanie się" z rządem i chęć wpływania na politykę gospodarczą państwa, chociaż prawo takie przyznajemy sobie samym i wszystkim innym warstwom społecznym, oraz —

2) na tem, że przypisujemy temu Lewiatanowi wbrew logice tajemniczą zdolność bogacenia się lub zyskiwania, zarówno na inflacji, jak na deflacji, zarówno na przedmajowym parlamentaryźmie, jak na pomajowym autorytaryźmie itp., podczas gdy w rzeczywistości nawet „Mały Rocznik Statystyczny" mógłby pouczyć nas, że było odwrotnie: że Lewiatan zawsze prawie dokładał ze swego, a bankami, fabrykami czy hurtowniami parał się widać tylko z filantropii, z obowiązku patriotycznego, z cnoty republikańskiej.

Pomijamy doczepione do tego skromniutkiego bagażu ideowego dowcipy, aluzje i niedomówienia. Zajmiemy się tylko nagą treścią. Gdzież to i kiedy „zarzucaliśmy" kołom ziemiańskim czy wielkoprzemysłowym ich „kontakty" z rządem lub z administracją państwową? Rozprawiliśmy się tylko z legendą, wykazując, że między polityką gospodarczą państwa i kołami, które samozwańczo ochrzciły siebie same jako koła gospodarcze, nie było nigdy żadnej zasadniczej sprzeczności, oraz z legendą, że odpowiedzialność za stan sił produkcyjnych i za stan potencjału obronnego można z tych „kół gospodarczych" przerzucić na jakąś rzekomą postronną lub nawet wrogą im siłę w postaci państwa lub biurokracji. Wezwaliśmy na świadka najbardziej miarodajnych chorążych Lewiatana i z ich własnych ust dowiedzieliśmy się, że wszystkie dotychczasowe rządy w Polsce *oni sami* uważają po prostu za kość z kości „kół gospodarczych", za swoją emanację i za przewodniki swojej zbiorowej woli w zakresie polityki gospodarczej. Mogły oczywiście i inne grupy społeczne szukać „kontaktu" oraz dróg oddziaływania na tę państwową politykę gospodarczą i mogły nawet uzyskiwać w ten sposób pewne pozycje i pewne osiągnięcia. Właśnie dzięki tym różnostronnym koncesjom i ustępstwom mówi się o „nadrzędnym" ponadklasowym charakterze państwa. Ale kto spróbuje zaprzeczyć, że wszystkie te kompromisy i ustępstwa były robione tylko w „nadrzędnych" interesach produkcji kapitalistycznej, utożsamianej, aż nadto często, z interesami tych samych „kół gospodarczych"? Jeżeli ktoś zechciałby tak uczynić, to wystarczy wskazać, że nawet w codziennej działalności prywatno - gospodarczej te koła wielkokapitalistyczne muszą często iść na takie same ustępstwa i kompromisy — np. przy likwidacji ruchu strajkowego itp. A o ileż większą musiałaby być miara tych koncesji nawet w tym wypadku, gdyby w państwie zniknęły wszelkie różnice funkcjonalne między aparatem rządowym i produkcyjnym a wszystkie problemy polityki gospodarczej byłyby rozstrzygane nawet nie w ciałach ustawodawczych, lub w gabinetach ministrów, lecz bezpośrednio w sekcjach, komisjach i prezydiach jakiegoś Lewiatana?

Nikomu więc nie uda się dzisiejszymi sarkaniami na „biurokrację" wymazać z pamięci społeczeństwa wczorajszych oświadczeń lewiatańskich, stwierdzających, że *dominantą* w polityce gospodarczej wszystkich rządów polskich były inspiracje, interesy i pragnienia właśnie tych „kół gospodarczych", które dzisiaj spychają na te rządy odpowiedzialność za swą nieudolność.

Powtarzamy więc głośno i dobitnie: wszystkie dotychczasowe rządy polskie dawały w ręce przedstawicieli wielkiego kapitału i wielkiej własności ziemskiej wszystkie możliwe dźwignie i środki działania ku kształtowaniu gospodarczego oblicza kraju. Gdy jednak te środki, te dźwignie i te przywileje okazały się w ich ręku nieskuteczne, gdy *ze środków pomnażania potęgi Polski przekształciły się u nich w narzędzia pomniejszania naszej siły* — wówczas stajemy wszyscy wobec kategorycznego nakazu *rewizji i zmiany dotychczasowego nastawienia państwowej polityki gospodarczej*, stajemy wszyscy wobec konieczności oparcia się na innych podmiotach gospodarczych, wobec konieczności mobilizacji innych sił społecznych, zdolnych naprawić zbrodnicze zaniedbania i wykonać olbrzymie zadania, dyktowane nam przez twarde, nieubłagane konieczności obronne i przez instynkt samozachowawczy narodu.

Autor wspomnianej notatki polemicznej jest, zdaje się, zlekka obrażony o to, że w artykułach naszych raczej ironicznie mówiliśmy o „szumnie tak zwanych kołach gospodarczych". Uważając więc nas za wyrazicieli pewnej części administracji państwowej, odpłaca się nam pięknym za nadobne i nazywa nas „szumnie tak zwaną biurokracją". Zapewniamy go, że chętnie zrzekniemy się miana nawet biurokracji bez żadnego przymiotnika. Nam natomiast nie chodziło o żadną złośliwość, lecz po prostu o stwierdzenie tego doniosłego faktu, że utożsamianie kół wielkokapitalistycznych z kołami gospodarczymi w ogólności jest dzisiaj jaskrawym anachronizmem wobec notorycznego faktu, że gdziekolwiek w Polsce mamy do czynienia z jakimiś istotnymi postępami gospodarczymi, tam nie tylko nie były one dziełem energii lub przedsiębiorczości kapitalistycznej, lecz nawet były przeważnie osiągane wbrew ich zaciekłemu oporowi. Czyż pewien ilościowy i jakościowy wzrost produkcji rolnej nie jest wyłącznie dziełem zawziętej, niemal nadludzkiej pracowitości chłopa, spychanego przez egoizm szlachecki na możliwie najgorsze warunki gospodarowania? I czy wszystkie istotne osiągnięcia w przemyśle i handlu w rodzaju Gdyni czy COP, w rodzaju racjonalizacji obrotu, rozwoju spółdzielczości itp. nie są bądź dziełem „biurokratycznego etatyzmu", bądź zbiorowej pracy zespołowej społeczeństwa, bez udziału lub wbrew oporowi kół prywatno - kapitalistycznych? Nie wszystko zachwyca nas w tej wyłaniającej się nowej linii rozwojowej. Stwierdzamy jednakowoż, że życie wysuwa już nawet teraz nowe, coraz bardziej prężne, prawdziwe koła gospodarcze bez cudzysłowu, rozsadzające zmurszały monopol dawnych „kół gospodarczych" w cudzysłowie.

I tego procesu nie zatrzymają chyba żadne słowne protesty i żale. W jubileuszowym, rocznicowym zeszycie „Przeglądu Gospodarczego" w obronie dawnego typu przedsiębiorcy kapitalistycznego kruszy kopię już nie bezimienny felietonista lecz najwybitniejszy dziś może u nas pogrobowiec liberalizmu kapitalistycznego, profesor Adam Krzyżanowski. Nie szczędzi on pracy i wysiłków, aby w najlepszym

świetle odmalować dobroczynną, a nawet wręcz *opatrznościową* rolę kapitalisty w dziejach ludzkości. Okazuje się, że człowiek w ogóle tem tylko się różni od zwierzęcia, że jest kapitalistą:

> „Ludzie — powiada pan profesor — nie byliby ujarzmili zwierząt, gdyby nie różnili się od nich tem, że są kapitalistami".

Co prawda, taka perspektywa, chwalebna może w przeszłości, gdy „kapitałem" była np. sękata pałka w garści, staje się trochę żenująca dzisiaj, gdy zostać kapitalistą dane jest mało komu z nas. To też profesor Krzyżanowski nie zapomina o dobrodziejstwach, przynoszonych przez kapitał również i społeczeństwu dzisiejszemu. Dowodzi on mianowicie, że zysk kapitalistów jest jedynym źródłem oszczędności całego społeczeństwa nowoczesnego:

> „*Zyski, są jedynym źródłem oszczędności*... Kwoty, zaoszczędzone przez świat pracy, przez publicznych oraz prywatnych urzędników i robotników, pobierających płacę, przez służbę domową... pochodzą także w ostatnim rzędzie z całości dochodów surowych... *Z jakiegokolwiek punktu widzenia będziemy rozpatrywać problem, zawsze dochodzimy do wniosku, że zyski przedsiębiorców są źródłem oszczędności*" (podkreślenia nasze).

A jednak, pomimo zupełnego odwrócenia obrazu rzeczywistego, pomimo twierdzenia, że kapitalista nie *zabiera* sobie w ten, lub inny sposób ogromnej części dochodów i oszczędności społeczeństwa, lecz owszem, *obdarowuje* to społeczeństwo wytworzonymi przez siebie samego dochodami i oszczędnościami — prof. Krzyżanowski dochodzi do smętnego wniosku, że społeczeństwo nowoczesne darzy swego dobroczyńcę czarną niewdzięcznością: obdarowany przez przedsiębiorcę kapitalistycznego

> „ciułacz cieszy się uznaniem, ale równocześnie przedsiębiorca uważany jest aż nadto często za indywiduum podejrzane. Nasza opinia publiczna... nie dostrzega prawdziwego źródła oszczędności".

Musimy sobie szczerze powiedzieć, że zjawisko, stwierdzone przez autora, lecz niepojęte w razie przyjęcia jego założeń teoretycznych, tłomaczy się w rzeczywistości dosyć łatwo. *Organ, nie wykonywujący swoich przyrodzonych funkcji, wyrodnieje i obumiera tak samo w organizmie zwierzęcym, jak i w organizmie społecznym*. Przedsiębiorca kapitalistyczny potrafił wysunąć się na centralną figurę społeczną i nadać swoje piętno całej epoce historycznej nawet wówczas, gdy przeciwko niemu działały potężne i przemożne siły i opory społeczne. Potrafił być tą centralną figurą również i wówczas, gdy jego brutalność, jego egoizm i zachłanność zaczęła wprawdzie oburzać apostołów sprawiedliwości społecznej, lecz była uważana przez większość tylko za cenę, płaconą wzamian za lepiej niż przez kogokolwiek innego spełnianą *funkcję organizatora postępu*. Dziś natomiast staje się on coraz bardziej obskurną i „podejrzaną figurą", mimo wszystkich kazań, mimo szumnej reklamy i nawet mimo ocukrzonych panegiryków profesorskich. Staje się zaś taką żałosną figurą tem bardziej, im jaśniej demaskuje się jego coraz bardziej *pasorzytnicza funkcja*.

Co do tego bowiem nie możemy żywić żadnych złudzeń. Podobnie, jak w ciągu ubiegłych lat kilkudziesięciu, nasze koła gospodarcze (w cudzysłowie) pracowały tylko nad obniżeniem naszego potencjału, tak samo i teraz, albo przejawiają zatrważającą bezradność teoretyczną i praktyczną, albo wręcz kraczą nam najbardziej złowróżbną przyszłość.

Profesor Adam Krzyżanowski w cytowanym przed chwilą artykule programowym próbuje wprawdzie rozprawić się z nowemi koncepcjami gospodarki planowej czy kierowanej, głoszącej konieczność organizowania produkcji nie pod kątem zysku lub wzbogacania się jednostkowego, lecz pod kątem zaspokajania potrzeb zbiorowych społeczeństwa — ale też jego krytyka jest klasycznym przykładem niezrozumienia omawianego zagadnienia. Czytamy tam bowiem:

> „Zaliczam do haseł wprowadzających w błąd... i niebezpiecznych... powiedzenie, wedle którego gospodaruje się dla zaspokojenia potrzeb, a nie dla zysku: oto jeszcze jedna z licznych, czysto sofistycznych formułek... *Jak gdyby każdy, kto dąży do osiągnięcia zysku, nie miał zamiaru przeznaczyć go na zaspokojenie swoich potrzeb*. Gospodaruje się zawsze dla zaspokojenia potrzeb" (podkr. nasze).

Otóż można być zwolennikiem lub przeciwnikiem gospodarki planowej. Można uważać, że zaspokojenie potrzeb zbiorowych jest lepiej zapewnione poprzez działanie osobistego zysku przedsiębiorcy niż przez celową i świadomą organizację sił wytwórczych ze strony samego społeczeństwa. Nie można tylko jednego. Nie można walczyć z tą koncepcją, *mieszając te potrzeby zbiorowe ze „swojemi" czyli osobistemi potrzebami każdego przedsiębiorcy*, tak samo jak nie można bez zdradzania się z nieznajomością przedmiotu twierdzić, że idea planowego zaspokajania potrzeb społecznych sprzeciwia się samej idei rentowności procesów wytwórczych. Jeżeli pod pojęciem rentowności rozumieć nie empiryczny fakt wypłacania dywidend lecz kategorię ekonomiczną, polegającą na technicznej i organizacyjnej celowości wszystkich zabiegów produkcyjnych i na osiąganiu z procesu produkcji pewnej nadwyżki dóbr ponad konsumcję i zużycie dla powiększenia sił wytwórczych, to przecież wszystkie dotychczasowe próby realizowania tej planowości są właśnie maksymalnym rozwinięciem zasady racjonalizacji i *legitymują się właśnie szybszym niż kiedykolwiek tempem kapitalizacji*.

Musi więc coś być nie w porządku z tym wulgarno-kapitalistycznym sloganem „rentowności" w cudzysłowie. Przez całe dziesięciolecia rzecznicy naszych „kół gospodarczych" zastępowali jakikolwiek program gospodarczy natarczywymi i namiętnymi wołaniami o zwiększenie rentowności produkcji. Nie było ani jednego rządu, ani jednego ministra, ba, ani jednego obozu, który by się temu urentownieniu produkcji przeciwstawiał. W imię tej rentowności stosowano raz zabiegi inflacyjne a raz znowu deflacyjne [1]) i żądano od całego społeczeństwa, a zwłaszcza

[1]) Kto widzi sprzeczność w tem, że dla osiągnięcia tego samego celu stosowano w różnych okresach przeciwstawne nieraz środki, ten zapomina o elementarnej prawdzie, że charakter i skutki każdej metody gospodarczej zależą zawsze od tego, przez kogo, przez jakie grupy społeczne i w czyich interesach jest ona stosowana.

od świata pracy, coraz to nowych „ofiar" i wyrzeczeń. A skutki były ponoć takie, że ziemianie i przemysłowcy tylko z wrodzonego altruizmu nie wyrzekają się takiego źródła udręczeń, jakim stały się dla nich folwarki i fabryki. (Czyż zresztą przyszłoby komukolwiek do głowy zaprzeczać, że nawet największy wyzysk rodzimego świata pracy nie uchroni *nieudolnego* przedsiębiorcy od zabójczej konkurencji rynkowej?). A tymczasem ustroje, które są rzekomo zaprzeczeniem zasady rentowności, kapitalizują w najlepsze. Widocznie więc istnieje również i „rentowność w cudzysłowie". *Widocznie pogoń za wzbogaceniem jednostek przy zachowywaniu barbarzyńskiego podziału dochodów i własności nie jest już najwłaściwszą drogą do osiągnięcia rentowności społecznej bez żadnych cudzysłowów.*

Ale bezradność praktyczna i teoretyczna największych nawet koryfeuszów powojennego kapitalizmu nie powstrzymuje wcale tych działaczy obozu lewiatańskiego, którzy odznaczają się bardziej krewkim temperamentem lub większą dozą szczerości. Pomijamy już liczne i nieustanne lecz ogólnikowe oświadczenia programowe tego obozu, głoszące, że jedynym warunkiem zatrudnienia większej niż dotąd liczby ludzi w produkcji jest wydatne obniżenie wymagań czyli pogorszenie poziomu życia wszystkich zatrudnionych. Pomijamy też mniej „odpowiedzialne" organy w rodzaju „Depeszy" lub „Codz. Gazety Handlowej". Ale oto nawet w najbardziej *zrównoważonym i umiarkowanym* organie śmietanki ziemiańskiej i finansowej — w „Czasie" z dnia 11 grudnia znajdujemy cały namiętny manifest niejakiego pana J. Ł., zapowiadający środki zgoła wyjątkowe. Autor piorunuje jeszcze raz na zbyt wysokie płace i zbyt niskie ceny paraliżujące zyskowność i oświadcza, że:

„Kraj czeka na *człowieka, który znajdzie odwagę chwycenia za miecz* i poprzerywania tych postronków, które nas wiążą".

Nawet więc *umiarkowany* „Czas" zaczyna grozić krwawą dyktaturą miecza, choć zwykle tak się odżegnywa od wszelkiego „totalizmu". A w imię czego porwie się do korda ten nowy „straszny dziadunio"? Posłuchajmy:

> „Nazwiska jego nie zwiążą z żadną monumentalną budowlą, z żadnym Dnieprostrojem. Nie wybuduje żadnej budowli ani Dnieprostroju. Po prostu zmieni... wzajemny układ cen, stopy procentowej, płac itd. itd....".

Każdy rozumie, że starszy pan mówił naumyślnie o Dnieprostroju a myślał naprawdę o niepotrzebnych „monumentalnych" Gdyniach czy COP-ach. I oto dowiadujemy się, że ci bankruci materialni i moralni, którzy przez dziesięciolecia osłabiali i ogołacali Polskę z wszelkich elementów siły i dobrobytu, mają tmutną odwagę sami obwieszczać, że i na przyszłość nic nie zbudują, że wyrzekają się uroczyście wszelkich „monumentalnych" zadań, że nawet w niedościgłych marzeniach... ściętej głowy odwracają się ze zgrozą od widma jakiejś nowej Gdyni lub nowego COP-u, lecz zato wołają o miecz dla ścinania płac roboczych a podnoszenia cen. Bywają jeszcze widać takie nieszczęsne niedźwiedzie, żubry czy... łosie, które w najnieopatrzniejszej chwili opuszczają swe mateczniki i same wychodzą na strzał. Nie rozumiemy tylko, dlaczego nasz sympatyczny oponent z „Przeglądu Gospodarczego", który obraził się na nas za suche wyliczenie faktów i cytat, nie znalazł raczej czasu i chęci na zgromienie wystąpienia bratniego „Czasu", które kompromituje lub demaskuje nasze „koła gospodarcze" znacznie chyba bardziej niż nasze bezpretensjonalne uwagi.

STANISŁAW OZIMA

GRUNT TO PODATEK

Podatki stanowią nie tylko pozycję wpływów fiskalnych, lecz również istotne narzędzie polityki gospodarczej i społecznej.

Poruszona została wreszcie sprawa żywotna od lat wielu, a dziwnym zbiegiem okoliczności zasadniczo nie rozważana i utrzymywana w ramach skarg, narzekań i utyskiwań, pozostawianych bez echa.

Chodzi o podatek gruntowy. Prace w zakresie „reformy podatkowej" są nie tylko w toku, ale stały się częściowo rzeczywistością w postaci t. zw. „małej reformy podatkowej". Pomimo to sprawa podatku gruntowego nie została zasadniczo objęta „małą reformą podatkową" i nie ma zapowiedzi, aby w najbliższym czasie miała się ona znaleźć w ramach zamierzonych dalszych zmian systemu podatkowego.

Może „gra nie warta świecy"? Pozycja tak mała z punktu widzenia fiskalnego — tylko 58½ miliona złotych rocznego wpływu skarbowego według preliminarza budżetowego na rok 1939/40; tylko 6,3% ogólnej sumy wpływów podatkowych Państwa. Innego jednak zdania — i słusznie — był Stefan Zawadzki, autor artykułu „Apetyt chłopski" [1]). Podatek gruntowy bowiem, to rzeczywiście tylko około 60 milionów wpływu skarbowego rocznie, lecz równocześnie to podatek, obejmujący 8,3 miliona pozycyj wymiarowych, a więc pod względem ilościowego zasięgu płatników jeden z najliczniejszych, bo dotyczący połowy pełnoletniej ludności kraju. To styk główny, choć negatywny, a niestety wielokrotnie jedyny wielkiej rzeszy obywateli z Państwem.

Zagadnienie w tym świetle jest ważkie nie tylko gospodarczo i społecznie, lecz, jasno to powiedzmy, również jako istotne narzędzie polityczne.

Przy pobieżnym już naświetleniu uderza niewspółmierność fiskalnych korzyści Państwa, osiąganych z wpływów z podatku gruntowego, z ogromem zasięgu ilościowego tego podatku, jak również dysproporcja między walorem gospodarczym wpływu skarbowego, a ujemnymi gospodarczymi skutkami, wynikającymi z obciążenia podatnika.

Niewspółmierności te nie tylko wskazują na konieczność poddania tego podatku zmianom, lecz również każą się spodziewać, że zrealizowanie tych zmian nie napotka na znaczne trudności ze względu na małą wagę gatunkową podatku gruntowego po stronie fiskalnej.

Autor wspomnianego już artykułu projektuje zmniejszenie wpływów skarbowych przez zwolnienie części płatników od podatku gruntowego, jednocześnie równoważąc zmniejszone wpływy przez redukcję wydatków. Widzi przy tem uzasadnienie gospodarcze dla zmniejszenia wydatków w dziale premiowania wywozu nadwyżki zbożowej, która to nadwyżka miałaby zostać skonsumowana na wsi dzięki zwiększeniu przychodu zwolnionych od podatku płatników.

To gospodarcze powiązanie przez przewidywanie wzrostu konsumcji wsi na skutek powiększenia jej przychodu, dzięki czemu zbyteczne stałoby się premiowanie nadwyżki zbożowej, konsumowanej w kraju, wydaje się wątpliwe. Sam autor tego rozumowania słusznie zaznacza, „że założenie o skierowaniu całej kwoty zaoszczędzonej przez biedną wieś na podatkach na zmniejszenie podaży głodowej wsi w zakresie żyta ma charakter wyraźnie schematyczny...". Nie tylko jest to schematyczne, lecz nader wątpliwe, aby spowodować mogło wzrost konsumcji wiejskiej w zakresie zbożowym w stosunku, pozwalającym na proporcjonalne zmniejszenie likwidacji nadwyżki zbożowej w drodze premiowania eksportu.

Pewnikiem nie budzącym wątpliwości jest to, że znaczna ilość ludności wiejskiej żywi się poniżej poziomu koniecznego. Wynikają stąd w konsekwencji znaczne możliwości powiększenia konsumcji, zwłaszcza zbożowej, wśród ludności wiejskiej. Nie przesądza to jednak, aby zwiększenie przychodu wsi w zakresie grupy ludności najbiedniejszej miało się bezpośrednio wyrazić w powiększeniu konsumcji, a zwłaszcza zbożowej.

Ludność nie dojadająca poza niezaspokojonemi potrzebami konsumcyjnemi posiada szereg potrzeb innych, które w myśl prawa hierarchicznego zaspakajania potrzeb znajdą niewątpliwie pierwszeństwo przed potrzebami konsumcyjnemi. W istoniejącym schemacie stosunków wiejskich sprawa warunków wyżywienia ustąpi pierwszeństwa np. potrzebom odzieżowym, a nawet niezbędnym inwestycjom. Jeżeli natomiast dojdzie do zaspakajania potrzeb konsumcyjnych, to raczej należy spodzieważ się wzrostu konsumcji w zakresie takich produktów rolniczych o trudnych warunkach przechowania i zbytu — jak ziemniaki. W tym samym szeregu hierarchicznym może nastąpić wzrost konsumcji artykułów dodatkowych pochodzenia nierolniczego, jak używki (sól i cukier). Dopiero po zaspokojeniu tych potrzeb rachować by można na wzrost konsumcji zbożowej, a zwłaszcza żytniej, bo o tę z punktu widzenia nadwyżki eksportowej chodzi.

Wątpliwe się staje wobec tego, czy odciążenie ca 2 złotych na 1 hektar dla ludności nie dojadającej, a więc świadczącej z ilości do 5-ciu hektarów, t. zn., czy podniesienie przychodu gospodarstw o przeciętnym ilościowym zespole rodzinnym 4 — 5 osób o kwotę do 10 złotych rocznie będzie mogło wywołać powiększenie konsumcji zbożowej, stojącej tak daleko w hierarchii porządku potrzeb najpilniejszych.

Nie należy przez to sądzić, aby powiększenie przychodu rocznego tego typu gospodarstw nawet w skali tak małej nie miało istotnego znaczenia dla tej

[1]) Stefan Zawadzki „Apetyt chłopski", Gospodarka Narodowa Nr 21, rok 1938.

grupy najbiedniejszej ludności. Przeciwnie — nawet tak niewielka podwyżka może mieć wpływ nie tylko na podniesienie konsumcji tej ludności, lecz zwłaszcza na podniesienie poziomu gospodarczego, względnie na umożliwienie jej zdobycia źródeł zarobkowych pozarolniczych. Zwłaszcza, że przeciętne obciążenie gospodarstw do 5 ha wraz z dodatkami samorządowymi, gminnymi i opłatą drogową wynosi na 1 ha ponad 6 zł, czyli do 30 zł w stosunku rocznym. Nie należy natomiast przewidywać, aby spowodowało to „zlikwidowanie nadwyżki zbożowej w kraju" w stopniu, który pozwoliłby uzyskać równowagę zmniejszonych wpływów skarbowych w zredukowaniu wydatków na premiowanie eksportu tej nadwyżki.

Stwierdzenie to nie może nas jednak doprowadzić do negatywnego ustosunkowania się wobec projektu reformy podatku gruntowego przedstawionego przez cytowanego autora. Sprawę tę uznaliśmy już na wstępie za aktualną i pilną zarówno ze względów gospodarczych, społecznych jak i politycznych. Wydaje się jednak, że zagadnienie to jest znacznie mniej skomplikowane i znajduje istotne rozwiązanie „samo w sobie" to znaczy nawet na gruncie fiskalnej kalkulacji jego dochodowości. Punkt ciężkości leży tu w 8,314.083 pozycjach wymiarowych podatku gruntowego według danych z 1938 r. Wpływ z tego podatku przewidywany w preliminarzu na rok 1939/40 wynosi 58½ miliona złotych, czyli przeciętny wymiar stanowi 7 złotych. W zestawieniu tym nie wzięto pod uwagę kosztu wymiaru i ściągnięcia podatku, który przy tej jego liczebnej strukturze i znacznym terenowym rozsianiu płatników jest napewno duży. Przypuśćmy, że koszt utrzymania większego aparatu skarbowego niezbędnego dla administrowania tak licznym pod względem wymiaru podatkiem, koszt manipulacji jak druki, wezwania płatnicze, ich przesyłka, zestawienia wpływów, rachunkowość i statystyka wynoszą orientacyjnie po 50 groszy od jednego wymiaru, co nie wydaje się szacunkiem zbyt wygórowanym, lecz raczej ostrożnym. Przy tym obliczeniu koszt administracji rocznej podatku gruntowego ustalić się daje kalkulacyjnie w sumie ponad 4 miliony zł rocznie. Pominięte zostały w tym rozumowaniu koszty związane z klasyfikacją gruntów, które do tego stopnia dokonywane są niestety z punktu widzenia korzyści fiskalnych, że tylko dla celów podatkowych mogą być miarodajne i pożyteczne. Pozwala to na włączenie ich kosztu również do administracji podatku gruntowego.

W tym świetle projekt zwolnienia z pod podatku gruntowego bardzo licznych gospodarstw drobnych jest całkowicie realny. Przy zwolnieniu np. gospodarstw do 5 ha Skarb rezygnowałby z ca 19 mil. zł wpływów, lecz równocześnie następowałoby znakomite pod względem ilościowym zmniejszenie ilości wymiarów przynajmniej o 5,5 mil. zł, co w konsekwencji potaniałoby administrację podatku gruntowego o ca 3 mil. zł.

Zmniejszenie wpływów o sumę około 16 mil. zł rocznie, powstałą po potrąceniu kosztów, nie jest zagadnieniem nierozwiązanylnym w ten lub inny sposób. Przerzucenie naprzykład tych 16-tu mil. na gospodarstwa większe o obszarze nie przewidzianym ustawą o reformie rolnej (ponad 180 ha) niczem nie zmniejszyłoby ogólnego przychodu rolnictwa, a stałoby się czynnikiem normującym słuszny podział dochodu społecznego.

Warto zaznaczyć, że obliczenie kosztu administracji podatku gruntowego, analogicznie sporządzone dla gospodarstw do 2 ha w porównaniu do wpływów podatkowych z tej grupy gospodarstw, wskazuje, że koszty prawie całkowicie zjadają wpływy. Podatek gruntowy stosowany do gospodarstw o obszarze do 2 ha jest więc nawet fiskalnie zupełnie chybiony i utrzymywany jest chyba tylko pro lege artis.

Takie rozwiązanie nie stanowi zasadniczego rewizjonizmu systemu podatku gruntowego, lecz jedynie pogłębienie dziś już przyjętej teoretycznie zasady degresji i progresji jego wymiaru. Zasada ta, jakkolwiek ustawowo przyjęta, w praktyce znajduje częściowe tylko zastosowanie. Pomijamy, o ile stopień przyjętej w założeniu progresji i degresji dostosowany jest do zwiększonych lub zmniejszonych, zależnie od obszaru, możliwości płatniczych podatników, gdyż to stanowi problem odrębny. Istotne jest dla zobrazowania jak w praktyce wymiarowej zasada degresji została wypaczona, stwierdzenie, że w zakresie samego podatku gruntowego gospodarstwa od 0 do 5 ha płacą przeciętnie na 1 ha podatku 1,71 zł., gdy przeciętne obciążenie 1 ha podatkiem gruntowym gospodarstw od 5 do 15 ha wynosi 1,66 zł. Różnica ta w żadnym razie nie da się wytłumaczyć przez odwrócenie działania degresji na skutek lepszych gruntów w pierwszej grupie gospodarstw. Twierdzenie takie byłoby zupełnie dowolne. Stan ten jest jeszcze znacznie pogłębiony okolicznością, że dodatki do podatku gruntowego samorządowe, gminne i opłata drogowa wymierzane są od podatku gruntowego bez uwzględnienia degresji.

Pozwala to stwierdzić, jak znaczne istnieją możliwości zmniejszenia obciążenia „ludności niedojadającej", nawet bez zmiany systemu podatkowego, a jedynie przez poddanie rewizji samego wymiaru.

Powstać może pytanie, czy zwolnienie od podatku gruntowego pewnej kategorii gospodarstw nie naruszy zasady powszechności opodatkowania każdego majątku. Nasz system podatkowy nie opiera się na bezwzględnej zasadzie opodatkowania każdego majątku. Pierwszą jego zasadą jest opodatkowanie w zależności od wysokości majątku; drugą częściowe lub zupełne zwolnienie od podatku majątku użytego na określone cele gospodarcze, jak np. kapitałów przeznaczonych na cele budowlane lub inwestycyjne. W takim stanie rzeczy zmniejszenie wymiaru lub nawet zniesienie podatku gruntowego nie narusza systemu podatkowego z punktu widzenia świadczeń majątkowych. Jeżeli majątek może być zwolniony od podatku dla osiągnięcia określonego koniunkturalnego celu gospodarczego, jak ożywienie ruchu inwestycyjnego, to równie dobrze, w tym samym celu może być zwolniony od podatku majątek umieszczony w ziemi. Zasada bowiem, aby każdy skrawek ziemi był obciążony podatkiem, nie znajduje uzasadnienia teoretycznego zarówno z punktu widzenia systemu podatkowego, jak i gospodarczego.

Istotnym elementem tych rozważań jest stwierdzenie, o ile słuszne jest zwolnienie od świadczeń na

rzecz zbiorowości poważnej grupy obywateli, która powinna być świadomie i celowo wciągana w zakres aktywnego publicznego życia gospodarczego. Zagadnienie jest tem bardziej istotne, że między ludnością wiejską i pozostałą ludnością państwa istnieją zasadniczne różnice w związkach, łączących ją ze zbiorowością. Ludność miast i ośrodków przemysłowych korzysta w znacznie większym stopniu z korzyści w postaci świadczeń szeregu urządzeń o charakterze publicznym, jak komunikacja, światło, udogodnienia mieszkaniowe, ułatwienia aprowizacyjne, oświatowe, organizacje i instytucje społeczne oraz kulturalne, organizacja bezpieczeństwa, opieka społeczna wszelkiego typu. Następuje tu wzajemny stosunek wymienny świadczeń między obywatelem a zbiorowością.

W rażąco odmiennym świetle stosunek ten przedstawia się w odniesieniu do ludności wiejskiej. Ze względu na znaczne jej rozsianie terytorialne korzyści obywatela z szeregu tych świadczeń teoretycznie częściowo istniejących, praktycznie zaś niedostępnych, wielokrotnie maleją aż do zupełnego ich zaniku. Wytwarza to stan znacznego jednostronnego przerostu świadczeń obywatela wiejskiego na rzecz zbiorowości, bez równoważnika odwrotnego w postaci świadczeń publicznych na rzecz obywatela. Więź ludności wiejskiej z państwem opiera się zwłaszcza na stosunku jednostronnych świadczeń obywatela przez krótki okres życia w postaci służby wojskowej oraz powszechnego opodatkowania przez cały okres życia dojrzałego.

Tej dysproporcji między sumą różnorodnych świadczeń chłopa na rzecz zbiorowości w porównaniu z uzyskiwanemi przez niego korzyściami od tej zbiorowości nie należy rozwiązywać przez łatwiznę zmniejszania obciążeń obywatelskich, lecz raczej wybrać należy drogę znacznie trudniejszą, lecz jedynie skuteczną, powiększenia świadczeń zbiorowości na rzecz obywateli.

Projektowane częściowe zwolnienie pewnej kategorii własności od podatku gruntowego nie stanowi jednak pod tym względem niebezpieczeństwa, gdyż w dalszym ciągu pozostaną świadczenia obywatela na rzecz zbiorowości z tytułu podatków samorządowych, dodatków gminnych i opłaty drogowej. Z punktu widzenia płatnika nie będzie to całkowite zwolnienie ze świadczeń publicznych, lecz jedynie zmniejszenie obciążeń z tytułu tych świadczeń.

Suma obciążeń publicznych dla grupy ludności nie dojadającej jest zagadnieniem nad wyraz subtelnym, a jednostronne jego rozwiązywanie z punktu widzenia równowagi budżetów publicznych, czy to państwowych czy samorządowych, jest ogromnie niebezpieczne. Przy bliższej analizie okazać się może, że pozornie niewielkie obciążenia na głowę biednej ludności stanowiące o nieznacznym wpływie skarbowym, powodują powiększenie się rzeszy ludności żyjącej w tej lub innej postaci kosztem zbiorowości. W tym wypadku wydatki organów publicznych na jej utrzymanie mogą okazać się większe od uzyskanych wpływów z podatku. Pamiętajmy bowiem, że obciążenie świadczeniami publicznymi licznej rzeszy ludności wiejskiej, wegetującej poniżej poziomu warunkującego zdrowie fizyczne i wydajną pracę, jest niezaprzeczoną rzeczywistością.

Obecnie stosowany system podatku gruntowego opiera się na dwóch założeniach zupełnie z sobą nie pokrywających się. Pierwszym jest zasada powszechności opodatkowania każdego gruntu użytkowego. Drugą jest dowiązany do podatku gruntowego system obciążenia w zależności od stanu posiadania, wyrazem czego jest stosowanie degresji i progresji w wymiarze podatku gruntowego, w zależności od ilości gruntu znajdującego się u jednego właściciela. Dwoistość tego systemu nie może dać wyników zadawalających. Projekt zwolnienia od podatku części gruntów jest zerwaniem z zasadą powszechności opodatkowania gruntów użytkowych, a tem samem podatek gruntowy stałby się logicznym systemem opodatkowania nie gruntu, lecz *stanu posiadania ziemi.*

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

„PROBLEM" ZBĘDNEGO PRZYWOZU

De minimis non curat praetor

Napisaliśmy w tytule: problem — bo zagadnienie, jak to się mówi, „urasta" już do takiej nazwy. Co pewien czas pojawiają się w pismach codziennych i nawet fachowych artykuły czy wzmianki na temat istniejących ciągle jeszcze w naszych pozycjach przywozowych artykułów luksusu czy nawet nieluksusowych, ale w każdym razie wyrabianych w kraju, a więc „zbędnych". Kilka razy czytaliśmy tu i owdzie nieśmiałe zaprzeczenia, że przecież są to rzeczy i nieuniknione i zrozumiałe, a nade wszystko — drobne i nie nadające się zatem do specjalnego dyskutowania. Ale alarmy nie ustają. I tem właśnie — a nie czem innem — są one doprawdy interesujące. Wynikają bowiem, w naszym skromnym przeświadczeniu, z głębokiej nieznajomości tego, czem jest właściwie handel zagraniczny, a, co gorsza jeszcze, z pewnego rodzaju obcości, jaka cechuje nasze społeczeństwo w tem, co się tyczy zagadnień gospodarczych w ogóle, a zagadnienia kontaktów gospodarczych ze światem — w szczególności.

Albowiem, zdaniem naszym, cała sprawa „zbędnego" przywozu polega na nieporozumieniu — i to nieporozumieniu dostatecznie zasadniczym, aby się nim zająć specjalnie. Ma ona, powiedzmy to odrazu, dwa zupełnie od siebie niezależne wizerunki: osobisty pogląd każdego obywatela, troszczącego się o możliwie szybki i składny rozwój gospodarczy kraju, i wyrachowanie polityka gospodarczego. Te dwa ustosunkowania są wobec siebie sprzeczne. Albowiem każdy rozsądnie myślący obywatel (autor niniejszych uwag ma i siebie samego słusznie czy niesłusznie za właśnie takiego...) ma prawo oceniać to specjalne zagadnienie naszego handlu zagranicznego w sposób mniejwięcej następujący:

„Jest oczywistym nonsensem i nawet nonsensem oburzającym, że kraj o takim dochodzie społecznym na głowę ludności, jak Polska, pozwala sobie na tak niesłychane luksusy, jak przywóz win, koniaków, owoców południowych, jedwabi, a nawet drogich angielskich materiałów wełnianych czy innych temu podobnych artykułów zbytku wówczas, kiedy pieniędzy tych można by było o tyle lepiej użyć na ożywienie własnej produkcji. Te 2,8 miliona złotych, któreśmy wydali r. ub. na wina, owe 18 milionów, które odpłynęły na pomarańcze czy cytryny, te winogrona, banany, orzechy, migdały, tkaniny jedwabne itd. itd. nie pozostają w żadnym stosunku z naszemi możliwościami. Nie rozumiem, jak rząd może dopuszczać do takich zbytków..."

W tym rozumowaniu wszystko jest słuszne — oprócz... ostatniego zdania. Nikt bowiem nie cieszył by się bardziej od autora niniejszych uwag, gdyby na wszystkie czy przynajmniej na większość z owych fatałaszków czy smakołyków sprowadzanych z zagranicy *nie było w Polsce chwilowo rynku*. Co to znaczy? A no tylko to, że mogło by się zdarzyć, iż społeczeństwo polskie ożywione zrozumieniem istoty naszej sytuacji gospodarczej i w imię elementarnego poczucia społecznego zadecydowałoby *dobrowolnie*, że pewnych artykułów zagranicznych uznanych za istotnie całkowicie zbędne kupować nie będzie... Było by to i piękne i słuszne — i możliwe do przeprowadzenia. Błędem natomiast jest mieszanie do tej całej sprawy rządu, a więc polityki gospodarczej państwa.

Błędem dlatego, iż właśnie odwrotna strona medalu całego tego zagadnienia przedstawia się zgoła odmiennie niż ta, o której przed chwilą była mowa. Jakie bowiem może być stanowisko rządu w tej sprawie? W pierwszym rzędzie zależy to od polityki gospodarczej przezeń prowadzonej i, co więcej, od polityki gospodarczej innych krajów, z którymi utrzymujemy kontakty gospodarcze. W latach, kiedy panował na świecie względny liberalizm w obrotach handlowych i ingerencja rządów w tę dziedzinę gospodarowania była niewielka, rząd polski mógł się nie oglądać na to, co zostanie spowodowane tym czy innym jego posunięciem polityczno-handlowym w dziedzinie interesów naszego wywozu na obcych rynkach. Moglibyśmy wówczas zakazać całkowicie przywozu do Polski i win i koniaków i innych jeszcze „luksusów", a prawdopodobnie nie wprowadzono by w stosunku do naszego wywozu ani na Węgrzech, ani we Francji, ani gdzieindziej żadnych specjalnych środków odwetowych. Powiadamy: prawdopodobnie, albowiem i wówczas nie można było wiedzieć napewno... Sądzimy jednak, że obyło by się bez skandalów, gdyż właśnie wówczas rządy nie były skłonne do interweniowania w domenę handlu zagranicznego. I dlatego właśnie — może — nie robiliśmy tego i my. Dość, że nigdy od czasu istnienia w Polsce zakazów przywozu nie działały one w dziedzinie „luksusu" całkowicie prohibicyjnie.

Teraz jednak część opinii publicznej doradza rządowi wejście na tę drogę. Rozumowanie przeciętnego uczciwego i rozumnego „człowieka z ulicy" przedstawiliśmy już powyżej. Czy jednak rząd może spełnić te dezyderaty?

Potrzeba by było na to w pierwszym rzędzie zrewidowania lub nawet wypowiedzenia wszystkich, albo większości naszych układów kontyngentowych, w których wzamian za korzyści udzielane przez rząd danego kraju dla naszego wywozu zobowiązaliśmy się do dopuszczania na nasz rynek pewnych artykułów pochodzących z danego kraju. Pocośmy to zrobili? Oczywiście nie dlatego, że artykuły te były nam potrzebne, ale dlatego, że dane państwo w myśl znanej zasady „do ut des" żądało tego od nas kategorycznie. I tu właśnie dochodzimy do zagadnienia, które w całej tej sprawie jest rozumiane najmniej — do zagadnienia oceniania wzajemności w stosunkach gospodarczych pomiędzy krajami.

„Dobrze — powie ktoś, kto zdaje sobie sprawę z konieczności czynienia ustępstw kontrahentowi wzamian za ustępstwa, które kontrahent ten czyni nam — dobrze, ale dlaczego właśnie mamy brać z Francji wina, z Anglii — materiały wełniane, z Włoch — pomarańcze, albo z Grecji winogrona, skoro możemy z tychże krajów brać dla nas rzeczy potrzebniejsze. Nie chodzi przecież o to, abyśmy w tych krajach nie kupowali. Owszem — w myśl zasady wzajemności gotowi jesteśmy kupować, ale możemy przecież naszym kontrahentom wytłumaczyć, co jest nam potrzebne, i dać im kontygenty na to właśnie, a nie na co innego".

W tym rozumowaniu tkwi właśnie błąd. Naszemu kontrahentowi wcale nie jest wszystko jedno, co, będziemy u niego kupowali. I, jeśli dano mu kontyngenty przywozowe na takie artykuły, których wcale specjalnie nie pożądamy, to dlatego, że artykuły te, niepotrzebne dla nas, *były wyraźnie potrzebne — dla niego.* Do każdego układu potrzeba dwuch...

„Rozumiem — powie nasz oponent — że każdy kraj forsuje niektóre dziedziny swego wywozu. Ale jakiż interes mieć może w forsowaniu wywozu „luksusowego"?..."

Ten — że to, co jest dla nas (i słusznie) luksusem, jest dla bardzo wielu krajów (równie słuszne...) czołowym artykułem wywozowym związanym z jakąś dużą gałęzią produkcji wewnętrznej. Nikt we Francji nie zrozumie, że wino, nad którego produkcją pracują w pocie czoła rzesze ludności wiejskiej może być uznane za „luksus". To samo dotyczy roli owoców w produkcji rolniczej poszczególnych krajów, roli przemysłu takiego czy innego w krajach innych (np. przemysł wełniany w Anglii...) itd. itd. Krótko mówiąc, to, co dla nas — i słusznie — jest luksusem, dla kontrahenta stanowi obiekt bardzo fundamentalnych zainteresowań gospodarczych.

„Czy jednak — będzie dalej upierał się nasz rozmówca — nie można by mimo wszystko ograniczyć przywozu poszczególnych z owych niepotrzebnych nam artykułów?"

Oczywiście — można. Ale powstaje tutaj zagadnienie, czy to się opłaci. Sprawa wygląda tutaj dwojako. Są kraje, z którymi właściwie należało by ograniczyć obroty do minimum, jeśli chciało by się wyeliminować całkowicie przywóz „zbędny". Weźmy np. taką Grecję, która poza tytoniem, stanowiącym prawie połowę wartości jej wywozu, eksportuje tylko w dużych ilościach oliwki, oliwę, suszone rodzynki, figi i wino. Samemi skórami surowemi nie sposób przecież zapełnić obok tytoniu składu przywozu greckiego do Polski. A Grecja sprowadza znaczne ilości węgla, cukru, produktów hodowlanych, drewna, maszyn i wyrobów włókienniczych, żądając jednak zawsze rownoważenia wzajemnych obrotów z każdym państwem. Co mamy brać z takiej Jugosławii czy Węgier, które posiadają jako swoje główne artykuły wywozowe *identyczne* produkty z tymi, które my sami posiadamy w nadmiarze (zboża, drewno, produkty hodowalne itp.)? Nie pozostaje nic innego, jak w celu umożliwiania wywozu węgla, żelaza, maszyn, wyrobów włókienniczych itd. brać artykuły drugorzędne wywozu tych krajów, a więc właśnie wina, owoce itd. Inaczej zamrze wymiana zupełnie.

Osobną grupę stanowią jednak wypadki, kiedy teoretycznie i gospodarczo *można by* zmienić skład przywozu z jakiegoś kraju w celu usunięcia zeń luksusów i zastąpienia surowcami, maszynami itd. Można by np. nie przywozić win, jedwabi i perfum francuskich, zastępując je złomem żelaznym, wełną surową czy fosforytami z Marokka. Można by usunąć z przywozu angielskiego drogie materiały wełniane, śledzie itd., zastępując je tymi czy innymi surowcami albo maszynami. Można by... Ale czy można i czy warto? I tutaj dochodzimy do drugiego zasadniczego nieporozumienia w ocenie zbędności przywozu.

Można by, mianowicie, może powiedzieć temu czy innemu krajowi przemysłowemu: nie potrzeba nam chwilowo waszych wysokocennych błahostek, ale gotowi jesteśmy kupować od was inne rzeczy, które są nam potrzebne... Oczywiście w pierwszym rzędzie kraj taki będzie się bronił przed uszczupleniem jego interesów ekspansji przemysłowej, zmieniając na gorsze i skład naszego wywozu na jego rynek. W tej „próbie sił" wychodzimy — powiedzmy — z równemi wzajemnemi stratami. Tego czy innego artykułu nie zdołamy już ulokować na danym rynku, ale za to uwalniamy się od pewnych przywozów nam niepotrzebnych. Rzecz tylko w tem, iż właśnie *równych* strat po obu stronach nie będzie nigdy. Albowiem do uzasadnionych gospodarczo wzajemnych cięć in minus doda rząd francuski, angielski czy belgijski pewną *nadwyżkę* strat na naszą niekorzyść — z przyczyn już czysto *politycznych.*

Jeśli Francja wywozi rocznie win za sto kilkadziesiąt miln. zł, to, oczywiście, „na papierze" nie zrobiło by jej różnicy, czy wywiezie do Polski win tych za 600 tys. zł — czy też pozycja ta zniknie. *Politycznie* jednak we francuskim ustroju parlamentarnym rząd, który zgodziłby się na wyeliminowanie w ten sposób z wywozu do danego kraju artykułu, posiadającego w izbie deputowanych tylu obrońców ze sfer producentów wiejskich, naraża się bardzo silnie. Tu już nie chodzi wówczas o wartość samego wywozu do danego kraju, ale kwestia staje się „punktem honoru", zasadą, obiektem demagogii — Bóg wie zresztą czem... Dość, że za stratę wywozową rząd obcy musi „policzyć" nam o wiele więcej, niż ona jest rzeczywiście warta. Nie mówiąc o sporach i zadrażnieniach, nie stojących również w żadnej proporcji do gospodarczego obiektu o który chodzi...

*
* *

Jakież jest z tego wszystkiego wyjście? O tem, że należy ograniczać do minimum przywóz rzeczy zbędnych, nie warto, rzecz prosta, dyskutować. Zasada jest słuszna i nadaje się zawsze do utrzymywania. Ale istnieje w ograniczaniu tym pewien punkt, począwszy od którego wszelkie dalsze cięcia muszą przynieść już *więcej strat* wywozowych niż korzyści przywozowych. Wydaje się nam, że w Polsce ten punkt został już prawie osiągnięty. W 1938 r. przywóz głównych zbędnych artykułów spożywczych wy-

niósł 3,5% wartości ogólnej naszego przywozu, wliczając weń zaś kawę, herbatę i śledzie — ok. 7%. W sumie na głowę ludności przywieźliśmy tych wszystkich towarów nie więcej niż za trzy złote w stosunku rocznym...

Powie kto: i to za dużo... I będzie miał rację teoretyczną, nie posiadając jej w praktyce. Powtarzamy bowiem: rządowi *nie opłaci się* w interesach o wiele poważniejszych od owych (niepotrzebnie zresztą wydanych) złotówek walczyć na noże z kimkolwiek. Bo też nie w tych złotówkach leży zagadnienie polskiego handlu zagranicznego.

Zasada prawa rzymskiego: de minimis non curat praetor nadaje się tu do zastosowania w całej rozciągłości. Co zresztą nie przeszkadza, że, jeśli uda się tu i owdzie *bez uszczerbku* dla innych spraw skasować w przywozie taką czy inną drobną pozycję zgoła niepotrzebną, to — rzecz prosta — należy tu zrobić. Zrobić, ale nie rozdymać tych drobnostek do kwestii stanu...

UWAGI

TAKI JUŻ IDZIE ROK

W numerze z dn. 21 grudnia r. ub. „Kuriera Polskiego" ukazał się artykuł Andrzeja Wierzbickiego pod fascynującym tytułem „Totalizm czy twórczość". Artykuł ten wymierzony przeciwko totalizmowi sięga w swej argumentacji aż do wysokosiężnych sfer pseudofilozofii, by przeciwstawić się totalizmowi jako prądowi nietwórczemu, stojącemu w sprzeczności z tem, co jest prawdą życia, by zohydzić totalizm, jako prąd wsteczny, nie liczący się z nowemi zdobyczami wiedzy.

Nie podzielamy bynajmniej argumentacji p. Andrzeja Wierzbickiego w jego walce z totalizmem, przeciwnie obrana przez niego argumentacja wydaje się nam nader naiwną, choć — jak zwykle u tego autora — wyłożona jest z maestrią godną pozazdroszczenia. Ponieważ jednak sami osobiście jesteśmy nastawieni do totalizmu naprawdę bardziej chyba wrogo, niż autor wymienionego artykułu, z radością witamy w szeregach wrogich totalizmowi tuza tej miary co p. Andrzej Wierzbicki.

Dobrze wprawdzie pamiętamy, że właśnie nie kto inny, jak Lewiatany włoski i niemiecki wychowały na tej pożywce, którą najlepiej dysponują, oba ruchy: faszyzm i hitleryzm, że bez zapomóg pieniężnych ze strony ciężkiego przemysłu i banków nigdyby żaden z tych ruchów nie wkroczył na szerszą arenę świata, rozprawiwszy się uprzednio z tem, co było dla jego mocodawców najgorsze — z najbliższym widmem, walczącą rodzimą klasą robotniczą, z jej nieustępliwością w sprawie poziomu życia i w sprawie wysokości płac. Wprawdzie nie budzi w nas jednocześnie poważniejszych wątpliwości niezaprzeczalny fakt, że w Niemczech i we Włoszech nie brak długiego szeregu przemysłowców, którzy klną totalny „etatyzm" na czem świat stoi, wiemy bowiem aż nadto dobrze, że tymczasem ten „etatyzm" realizuje lepiej niż ktokolwiek inny zasadę obrony możnych przed słabymi, co nie może być nie miłe dla p. Andrzeja Wierzbickiego nawet w epoce, gdy „duch ludzki wyrywa materię z bezwładu i udowadnia jej własne życie wewnętrzne, jej promieniotwórczość" (cytat z wymienionego wyżej artykułu). Pewnie, że swoiste cechy nowych kondotierów możnych tego świata spowodowały, że i faszyzm i hitleryzm nieraz z własnej intuicji, promieniując niby materia, nie chąc być — zgodnie z dzisiejszymi modnymi prądami fizyki — „dyspozycyjne", obrały drogę, która chwilowo przyprawiała o ciarki tkwiących bądź co bądź w starych nawykach dysponentów, tem niemniej jednak, akcentując to, co najważniejsze, i nie tracąc zasadniczego kierunku w zawiłościach nowoczesnych serpentyn historii, trzeba chyba z ręką na piersi stwierdzić, że z buntu i krzyku pozostał w faszyźmie i hitleryźmie co najwyżej rozmach marszu, wiecu i cwiszenrufu, a na czoło wysunęły się te sztandary, których wartość była niezmienna od czasów tężenia wolnej konkurencji w fasady karteli.

I dlatego, chociaż bynajmniej nie jest naszym ideałem będący z pewnością dla p. Andrzeja Wierzbickiego szczytowym uosobieniem wolności i twórczości ustrój liberalno - kapitalistyczny, zbrojny właśnie w owe fasady karteli, uosobienie skostnienia gospodarczego, wygodnego wycofania się nietwórczych sił na obfite choć ograniczone żerowisko, uosobienie „promieniotwórczości" zdobytej renty — to tem niemniej w chwili, gdy niewątpliwie najważniejszą linią podziału współczesnego świata jest podział na dwie gromady: za totalizmem czy przeciw, doceniamy całą wartość społeczną owego wystąpienia p. Andrzeja Wierzbickiego przeciw totalizmowi. A ponieważ panta rei i nie pod każdym stopniem szerokości i długości geograficznej te same plany i zamierzenia mają te same szanse owocnej realizacji, nie uważamy za niemożliwe uparte pozostawanie „póki co" p. Andrzeja Wierzbickiego w polskich antytotalnych szeregach. I dlatego być może przyjdzie nam kroczyć z p. Andrzejem Wierzbickim w najbliższym czasie przez dłuższy szmat historii, jakkolwiek w tylu ważkich sprawach różnice między nami muszą wywołać zawsze niejeden ostry zgrzyt.

Kiedy bowiem zapoznajemy się np. w wymienionym wyżej artykule z tem, jak p. Andrzej Wierzbicki rozumie godność ludzką, wydaje się nam to rozumienie zwłaszcza ze względu na polską tak niedaleką przeszłość poprostu bluźnierstwem. Pisząc o tem, jak poczucie bezpieczeństwa stworzyło podstawy godności ludzkiej Anglików, p. Andrzej Wierzbicki stwierdza: „Gdziekolwiek, na jakimkolwiek krańcu świata znalazł się obywatel brytyjski — wiedział on, że stoi za nim jego ojczyzna, gotowa wszcząć wojnę w obronie choćby jednego Anglika" i dalej „technika wytworzyła w Anglikach w czasach nowożytnych tę tak niezwykle twórczą postawę psychiczną „civis Romanus sum", opartą na dogmacie, że godności obywatela brytyjskiego broni wobec całego świata jego państwo". Jakże przy takim rozumieniu godności ludz-

kiej spodziewać się, że p. Andrzej Wierzbicki nie byłby zwolennikiem każdego ustroju który by gwarantował mu najpewniej, że za prawami każdego wielkiego obiektu majątkowego stoi cały aparat państwowy. A jednak tempora mutantur. To już nie 1933 rok, to już prawie po sześcioleciu twórczości hitlerowskiej.

I dlatego chociaż nas diabli biorą, jak p. Andrzej Wierzbicki z rozczuleniem wspomina „czterdzieści pięć miesięcy pracy Marii Curie-Skłodowskiej nad tonami rudy, w najtrudniejszych warunkach pracy, w której była i uczoną i laborantką i poprostu pracownicą fizyczną" i wspomnieniem tym wprost bezcześci „ukochanie przez Nią nauki bez granic, bezinteresowność w służeniu jej aż do zapamiętania", nam bowiem zaciskają się raczej z buntu i gniewu pięści na ten czterdziestopięcio miesięczny wysiłek wielkiej uczonej, pozbawionej należytych środków materialnych dla sprawnej i szybkiej pracy nad swoim genialnym pomysłem i rośnie w nas nienawiść do tego środowiska, które z obawy przed nierentownością przedsięwzięcia zmuszało wielką uczoną do sięgania po bohaterstwo tam, gdzie osiągnięcie powinno być zapewnione po przez zwykłą organizację i należytą dyspozycję niezbędnymi środkami, to jednak wspólne nastawienie antytotalne musi być dziś — rozumiemy to — silniejszą więzią, niż wszystkie zżymania się.

Nie ulega dla nas bowiem wątpliwości, że rok który nadciąga, będzie znaczony wyjątkowym napięciem wysiłku wszystkich narodów Europy czy nawet świata. Zdajemy sobie sprawę, że nadejść może w tym roku dla Polski cwila, iż chociaż co do nas przywykliśmy, że

„Rzadko na moich wargach,
Niech dziś to warga ma wyzna,
Jawi się krwią przepojony
Najdroższy wyraz: Ojczyzna".

przyjdzie właśnie nam może czuć Ją tak blisko i tak namacalnie, jak będzie nam to kazał instykt wyczucia „chwili osobliwej". I dlatego skłonni jesteśmy mimo wszystko nawet z p. Andrzejem Wierzbickim rozumieć dziś jednakowo, że „Ojczyzna jest w sercu każdego człowieka, ale realizuje się ojczyznę tylko twórczym działaniem, tylko świadomą i twórczą zbiorową pracą jej synów".

Taki już idzie rok.

Stefan Zawadzki.

WIDMO NOŻYC

Niestety zbyt wiele czynników odsuwa dziś zagadnienie kosztów produkcji na plan drugi. Znaczny stopień izolacji gospodarstwa polskiego od gospodarki światowej pozwala pokaźnej grupie warsztatów pracować mimo wysokich cen i kosztów przy 100%-ym zatrudnieniu. Korzystny w ostatnim roku przebieg koninuktury w Polsce, pomimo osłabienia koniunktury światowej, zdaje się zadawać kłam pesymistom, wróżącym poważne kłopoty z racji przerostów w kosztach produkcji. Jeszcze raz sprawdza się teza, że trudno jest zmobilizować energię w okół jakiegoś problemu polityczno-gospodarczego, zanim stanie się on bezpośrednio bolesny.

Przypominamy, że na przełomie roku 1935/36, kiedy Rząd z dużą energią i z dużym w konsekwencji wynikiem przeprowadził obniżkę szeregu cen, mieliśmy wszyscy w Polsce poczucie, że należało to zrobić wcześniej, że *można* było to zrobić wcześniej. Przypominamy, że kiedy przed półtora rokiem Rząd skutecznie powstrzymał falę zwyżki cen, motywowaną wzrostem cen surowców importowanych, a naprawdę w głównej mierze wynikającą stąd po prostu, że przy zwyżkującej koniunkturze dawało się podwyższać ceny rynkowe, w szeregu wypadków okazało się, że ceny już poszły w górę przed rozpoczęciem akcji rządowej i że wcześniejsze jej rozpoczęcie dałoby szerszy, korzystniejszy wynik.

Jeśli za czas jakiś, za kilka miesięcy czy lat (raczej to pierwsze) sprawa rewizji niektórych elementów kosztów produkcji i niektórych cen dojrzeje, to zapewne znów będziemy musieli stwierdzić, że przynajmniej część posunięć mogła być zrobiona wcześniej. I to posunięć bynajmniej nie małej miary. Spośród zespołu motywów, pozwalających na obniżenie cen pewnych artykułów, a tem samem obniżenie kosztów produkcji w innych dziedzinach, trzy wydają nam się szczególnie ważne. A więc przede wszystkim mamy dziedziny, w których cena ustabilizowana została na poziomie rentownym już przed kilku laty przy niewiekich rozmiarach produkcji. Dziś rozmiary danej produkcji wzrosły poważnie przy niewielkich zmianach kosztów zmiennych, dając pokaźną obniżkę kosztów stałych na jednostkę. Przykład: cukier. W niektórych dziedzinach przemysłu dopuszczono do podwyżki cen, mimo generalnej tendencji stabilizowania cen, ze względu na motywy specjalne, skłaniające do zapewnienia danej dziedzinie szczególniejszej rentowności. Motywy te ustały, a cena pozostała niezmieniona. Przykład: żelazo. (Motywem zwyżki cen żelaza było umożliwienie przemysłowi hutniczemu szybkiego zainwestowania się, — przyłączenie Zaolzia, a z nim Trzyńca daje bez inwestycyj taką zdolność wytwórczą hut, jaka miała być osiągnięta dopiero za lat parę, a zatem pozwala proces inwestycyjny odroczyć, wzgl. osłabić jego tempo). W niektórych dziedzinach przemysłu cena surowca zagranicznego ma tak istotne znaczenie w kosztach produkcji, że cena gotowego produktu wahać się może i powinna bez mała równolegle do ceny surowca. Jeśli więc surowiec ustawicznie zniżkuje, to wydaje się słuszne uwzględnienie w cenach gotowego produktu zniżki ceny surowca w tym samym stopniu, w jakim uwzględniano kiedyś zwyżkę. Przykład: przędza bawełniana.

Zaktualizowanie sprawy rewizji regulowanych cen i kosztów produkcji jest nie tylko możliwe, ale i potrzebne. Przypomnieć bowiem należy, że ta równowaga, jaka wytworzyła się w roku ubiegłym w gospodarstwie polskim, opierała się między innymi tak jak i w roku 1928 o korzystniejszy niż w innych latach poziom cen rolnych. Otóż nie sądzę, aby liczne było grono tych, którzy mniemają, że zagadnienie nożyc da się rozwiązać tylko od strony dolnego, zniżkującego dziś ramienia cen rolnych. I dlatego jeśli nie chcemy doczekać się pełnych konsekwencji rozwarcia nożyc, to na sprawę cen przemysłowych i kosztów produkcji musimy znów zwrócić zaostrzoną uwagę. Wbrew przysłowiu trzeba uderzyć w stół, aby się nożyce *nie* odezwały.

t. k.

O WŁAŚCIWE ROZUMIENIE PODAŻY GŁODOWEJ

P. Stanisław Ozima w umieszczonym w niniejszym numerze artykule p. t. „Podatek to grunt”, nawiązując do mojego artykułu z numeru 22 ub. r., dostarcza szeregu wyjątkowo interesujących argumentów natury techniczno - fiskalnej i społeczno - politycznej, przemawiających za zniesieniem podatku gruntowego — niestety tylko państwowej jego części — od najmniejszych gospodarstw chłopskich. Obciążenie gospodarstwa do 5 ha państwowym podatkiem gruntowym wynosi przeciętnie do 10 zł, licząc dwa złote na ha, obciążenie państwowym podatkiem gruntowym i różnymi daninami samorządowymi wynosi do 30 zł, licząc 5 złotych na ha. W artykule moim wypowiedziałem się nie tylko za zniesieniem państwowego podatku gruntowego, ale również wszystkich związanych z nim danin samorządowych w stosunku do najuboższych gospodarstw chłopskich, nie widzę bowiem żadnej racji, aby najbiedniejsi płacili podatki bezpośrednie. Podkreślam, że mrozi mnie poprostu argument o wychowawczej roli podatków bezpośrednich od nędzarzy — wszystko jedno, czy będą to podatki państwowe czy samorządowe. Rozumiem, że w tej dziedzinie trudno o argumentację rzeczową, decyduje tu bowiem tylko indywidualne pragnienie, jakie ma mieć Polska „obyczaje”. Otóż moim życzeniem jest, aby obyczaje te nie pozwalały na pobór jakichkolwiek podatków bezpośrednich od ludzi, których dochody są tak niskie, jak masy chłopskiej żyjącej na gospodarstwach poniżej 5 ha.

W rozważaniach moich zwolnienie od wszystkich podatków najmniejszych gospodarstw chłopskich miało jednak również swoje bardzo ważkie względy ekonomiczno - polityczne. Przypominam, że wiązałem w artykule swoim zwolnienie od 60 czy nawet więcej milionów zł danin publicznych najbiedniejszych gospodarstw chłopskich z dążeniem do przeciwstawienia się głodowej podaży żyta ze strony tych gospodarstw, jako drogi do likwidacji „nadwyżek” eksportowych zboża w Polsce. Nierealność takiego powiązania atakuje właśnie Stanisław Ozima w wspomnianym artykule, twierdząc, że zaoszczędzone przez najbiedniejsze warstwy chłopskie podatkowe pieniądze pójdą na inne cele konsumpcyjne czy nawet inwestycyjne, a nie na zwiększenie konsumcji żyta. Uwaga niniejsza powstała z chęci przeciwstawienia się tej właśnie tezie p. Stanisława Ozimy. Przede wszystkim podkreślam raz jeszcze, że ja chcę odciążyć najbiedniejsze gospodarstwa chłopskie w stosunku 6 zł. od ha (½ korca żyta!), a nie w stosunku 2 zł, jak Stanisław Ozima.

Ale nie to jest w naszym sporze najważniejsze. Głównym błędem Stanisława Ozimy jest to, że nie rozumie, co to jest głodowa chłopska podaż żyta. To nie jest tak, że chłop małorolny z góry przeznacza tę lub inną ilość żyta na sprzedaż, a tyle i tyle zostawia na własne potrzeby. Nie, to w miarę rosnących wydatków wynosi się z bólem serca następny korzec żyta z komory. Gotówka za sprzedane żyto nie wpływa u małorolnego chłopa do ogólnej jakiejś kwoty przychodów, które według swoistych praw hierarchii potrzeb rozkładają się na takie a takie pozycje wydatkowe. Przeciwnie to wobec zjawienia się konkretnej pozycji wydatkowej skraca się wielkość zapasu na samozaopatrzenie i jest się volens nolens wypychanym na rynek.

I dlatego nie można mówić tu o hierarchii potrzeb, nędza ma ta do siebie, że o tej hierarchii decyduje prawie wyłącznie mus narzuconych konieczności. Zresztą Stanisław Ozima nie podał żadnego dowodu, że nie sprzedane na podatki przez najbiedniejszą masę chłopską zboże będzie sprzedane i tak na inne potrzeby. Przyznaję, że i ja faktycznego liczbowego dowodu dla kontrtezy nie posiadam. Sądzę jednak że wczucie się w istotę głodowej podaży chłopskiej (½ korca żyta z ha na podatki) przemawia raczej za moją tezą, iż odciążenie od 60 czy więcej milionów podatków najbiedniejszych gospodarstw chłopskich zatrzyma na samo spożycie *większość* pochodzącego z głównej podaży chłopskiej żyta w komorach chłopskich. Tylko trzeba zerwać raz całkowicie z wychowawczą rolą podatków od nędzy chłopskiej. Po argumentacji Stanisława Ozimy przeciwko państwowemu podatkowi grutownemu od gospodarstw poniżej 5 ha posunęliśmy się na tej drodze o realny krok naprzód.

Stefan Zawadzki.

NOTATKI

GORĄCE LODY

Wystarczy zajrzeć do dowolnego numeru czasopism, wydawanych przez sfery gospodarcze, by odnaleźć tam żądanie, aby administracja gospodarcza była elastyczniejsza, sprawniejsza, energiczniejsza, a równocześnie ściśle przestrzegała prawa i nie stwarzała niepewności co do swych zamierzeń. Jest dobrym prawem każdego klienta żądać, by był dobrze obsłużony. Nie jest naruszeniem tego prawa, jeśli nawet klijent żąda, aby mu podano gorące lody. Jeżeli ma ochotę — może tego żądać. Ale niestety nikt mu tego nie potrafi podać. I tu dochodzimy do sedna wcale poważnej sprawy. Utyskiwania i żądania pod adresem administracji gospodarczej są przeważnie słuszne w tym sensie, iż nie obsługuje ona potrzeb życia gospodarczego tak, jakby tego zainteresowani pragnęli. Są bardzo często niesłuszne w tym sensie, iż zainteresowani domagają się rzeczy niemożliwych, wykluczających się nawzajem. W świetle pewnych potrzeb, pewnych celów, przepis regulujący daną sprawę jest zbyt sztywny, a w świetle innych zostawia zbyt wielkie pole dla dowolności. W perspektywie chwili bieżącej tempo załatwiania pewnej sprawy jest zbyt powolne, natomiast po niejakim czasie kiedy rodzi się potrzeba zmiany decyzji, zainteresowani sami stwierdzają, że woleliby załatwienie późniejsze, lecz niezmienne.

Bolączki i sprzeczności, o których mówimy, rodzą się z różnych przyczyn. Jednakowoż bodajże większość z nich należy do tej samej kategorii. Kategorię tę określić można jako rezultat niezdecydowania pomiędzy zasadą swobodnego uznania władzy, a zasadą ścisłej generalnej normy. Ta ostatnia zasada rządziła pracą aparatu państwowego przez dziesiątki lat. Wiek XIX — dziecko rewolucji francuskiej — nauczył nas widzieć w niej gwarancję równości obywateli wobec prawa, ochronę obywatela przed samowolą administracji. Wszystko było dobrze póty, póki zakres zadań administracji gospodarczej był wąski, dopóki rzeczywistość nie nakazała uciekać się do przepisów ramowych (z nazwy lub z treści). W owym idyllicznym okresie rola administracji polegała na wyszukaniu normy pasującej do danego wypadku. Urzędnik administracji gospodarczej nie stawał wobec problemu celowości lub niecelowości danego rozstrzygnięcia. Dziś, jak wiemy, jest inaczej. Polityka gospodarcza tworzona jest nie tylko przez normy ustawowe, przez zarządzenia i przepisy wydawane przez ministów, lecz również przez codzienne decyzje organów znacznie niżej w hierarchii stojących. Organy te czasem mają zawarowaną zupełnie swobodę uznania, czasem kierują się wyraźną i precyzyjną normą, najczęściej jednak zachodzi sytuacja mieszana. Połowicznie rozstrzyga norma — resztę ma stworzyć swobodne uznanie. Często zresztą ta połowiczność jest taka, jak w anegdocie o pasztecie, robionym pół na pół z konia i zająca: pół konia oraz pół zająca. Niewielka jednak już domieszka obcego elementu wystarcza, by sytuacja administracji gospodarczej była trudna. Te kryteria, które są dobre dla działania na zasadach swobodnego uznania, nie pokrywają się z kryteriami,do których powinien stosować się poprawny wykonawca ścisłej normy. I dlatego jednym z realnych środków usprawnienia administracji gospodarczej jest przechylenie się w zakresie poszczególnych grup zagadnień w jednym lub w drugim kierunku, wybór pomiędzy działaniem określonym przez celowość i działaniem określonym przez przepis. Sfery gospodarcze dla usprawnienia toku administracji mogą zrobić o wiele więcej wypowiadając się bądź to za jednym bądź to za drugim rozwiązaniem, w zależności od typu zagadnienia, niż domagając się gorących lodów.

a. u.

POD PRĄD

Rezultaty akcji „gwiazdkowej" w ramach „Pomocy Zimowej" są naprawdę imponujące. O ile w roku 1937 przyniosła ona niespełna 400.000 zł., o tyle zbiórka zeszłoroczna zamknięta została kwotą zgórą pół miliona. Dobra koniunktura, dobra organizacja czy po prostu dobre serca? Prawdopodobnie wszystkiego po trochu.

Każdy medal ma jednak dwie strony. W poruszanej tutaj kwestii stroną dodatnią są podane wyżej wyniki finansowe. Stronę ujemną stanowią *uboczne skutki* akcji filantropijnej, za jaką zbiórkę „gwiazdkową" uważać trzeba.

Filantropia ma to, niestety, do siebie, że jest pojmowana jako coś w rodzaju długu społecznego. Gdzie jest dług, tam musi być i wierzyciel. Otóż takim wierzycielem — i to wierzycielem *permanentnym* — stają się grupy i jednostki, korzystające z filantropii. Nie traktują jej jako pomocy doraźnej, jednorazowej, wyjątkowej. Przeciwnie — widzą w niej instrument stałej, nieustającej asekuracji. Zamiast być przysłowiową deską ratunku, filantropia przedzierzga się w linę, na której uczą pływać początkujących i niedorajdów. Osoba lub grupa, której społeczeństwo przychodzi z pomocą, w tym właśnie społeczeństwie widzi nietylko dłużnika, ale i winowajcę, sprawcę, *jedynego* sprawcę jej (osoby czy grupy) nieszczęścia. To ostatnie przekształca się z biegiem czasu w stan błogiego poczucia, że przecież społeczeństwo nie da zginąć, wyręczy i nawet lepiej wykona w zastępstwie.

Z „Pomocy Zimowej" korzystają ludzie, którym los (kryzys, sezonowy charakter produkcji — co kto woli) uniemożliwił zarobkowanie. Ale na równi z nimi czerpią pełnymi dłońmi ci, którym nie zależy na walce z przeciwnościami, na sprzeciwianiu się złu. Są oni premiowani przez społeczeństwo za bierność i lenistwo. W nagrodę... przepijają pomoc, zasiłki, filantropię, domagają się dalszych i większych zasiłków, tworzą kadrę ludzi niezadowolonych ze wszystkich i ze wszystkiego i opierających się skutecznie wszelkiej pozytywnej, konstruktywnej akcji. Z takich to ludzi rekrutują się permanentni mieszkańcy baraków, których — wbrew naszym na tę kwestię poglądom — opuścić nie chcą i nie pragną, gdyż gwarantują im one łatwe życie poniżej kosztów normalnych, ponoszonych przez biorących się za barki z ży-

ciem obywateli. Oni też tworzą grupę chłopów-powodzian, nie pozwalających na budowę wałów w czasie powodzi i nie budujących ich samemu.

Zatytułowałem swoją notatkę: Pod prąd. Rozumiem bowiem, iż przeciwstawiam się powszechnie panującym na całą tę sprawę poglądom. Kwestionuję „dobre serce" społeczeństwa, wysiłek, zmierzający do wyrównania różnic społecznych, pomoc dla nic niewinnych ofiar kryzysu czy niezaradności starszego pokolenia. W celu złagodzenia mogących mnie spotkać zarzutów zaznaczam, iż notatkę napisałem już po zakończeniu akcji zbiórkowej. Pragnę zaś jedynie podkreślić długofalowe, jak sądzę, konsekwencje dobroczynności masowej i bezkrytycznej. Dobroczynność ta zwalnia zresztą starszych od obowiązków, jakie mają oni wobec młodego pokolenia. Społeczeństwo przekarmia, ubiera i wychowuje młodzież, państwo ją uczy — co pozostało rodzicom? Chyba tylko — chętnie wykorzystywane — prawo wymierzania kary cielesnej?

Wszelka działalność społeczno-filantropijna powinna kierować się zasadą, przyjętą w medycynie: podtrzymywać i leczyć organizm, *walczący* z chorobą. Żadne bowiem lekarstwa i środki nie pomogą, jeżeli chory kapituluje wobec śmierci. Pomagać walczącym — to obowiązek, wspierać biernych i obojętnych — kultywowanie zła. Bo zło tkwi nie tylko w braku środków materialnych...

z. i.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.